GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK IV | W OBOZIE, DNIA 15 LIPCA 1943 R. | NR 14 (70)



Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej

Obywatele Rzeczypospolitej!

Niezbadane wyroki Boskie dotknęły nas nowym ciężkim doświadczeniem. Prezes Rady Ministrów i Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski nie żyje. Zginął na posterunku podczas przelotu z Bliskiego Wschodu do Wielkiej Brytanii. Ta bolesna strata pozbawia naród polski wypróbowanego w służbie Ojczyznie żołnierza i męża stanu. Naród polski wespół z narodami zjednoczonymi składa codziennie liczne i ciężkie ofiary dla ostatecznego zwycięstwa nad wrogiem. Dzisiaj w szeregu tych, co umierając w walce o wolność prowadzą nas do nowego życia, stanął śp. Władysław Sikorski. Imieniem Rzeczypospolitej oddaję cześć Jego zasługom dla Ojczyzny.

Obywatele Rzeczypospolitej! Wzywam was, abyście wszyscy, gdziekolwiek jesteście, w ojczyźnie zajętej przez wroga, na uchodźstwie rozrzuceni przez zamieć wojenną po wszystkich kontynentach, czy w szeregach naszych sił zbrojnych, umocnili się w jedności i wytężonej pracy i wytrwali każdy na swym posterunku do chwili zwycięstwa, które stać się musi chwilą tryumfu sprawiedliwości dziejowej.

Polska i Sprzymierzeni w żałobie

W nocy z 4 na 5 lipca samolot bojowy typu »Liberator«, na którego pokładzie znajdował się Prezes Rady Ministrów i Naczelny Wódz gen. broni Władysław Sikorski, uległ katastrofie tuż po wystartowaniu z lotniska na Gibraltarze w drodze powrotnej do Anglii.

Gen. Sikorski poniósł śmierć na miejscu. Wraz z nim zginął szef Sztabu Głównego gen. Klimecki, płk. Marecki, płk. Gralewski, por. Kułakowski, por. Ponikiewski, mjr Cazalet, członek parlamentu brytyjskiego i angielski oficer łącznikowy, przydzielony do gen. Sikorskiego, brygadier Whitley, również poseł do parlamentu angielskiego, oraz Leck z ministerstwa transportów wojennych. Zginęła też jedyna córka gen. Sikorskiego, p. Zofia Leśniowska, znana ze swej działalnosci w polskiej pomocniczej służbie kobiet.

Do Gibraltaru udała się delegacja polskich sił zbrojnych w celu przewiezienia zwłok gen. Sikorskiego do Wielkiej Brytanii.

• • •

Jak grom z jasnego nieba spadła na nas bolesna wieść o tragicznej śmierci gen. Sikorskiego. Wydarzenie to targnęło nie tylko naszymi tutaj obozami, ale całym narodem polskim, który już tak okrutnie doświadczony jest ciężkimi dopustami losu. Bo oto odeszła z pola nierozstrzygniętej jeszcze walki osobistość kierownicza — wódz naczelny i przywódca polityczny, który mocną swą dłonią przed niespełna czterema laty ujął ster polskiej sprawy narodowej, aby Ojczyznę naszą wyprowadzić cało ze wzburzonych odmętów tej strasznej wojny.

Kim był gen. Władysław Sikorski — wie cały świat. Żołnierz i mąż stanu, wysoko ceniony przez sprzymierzeńców; człowiek, któremu nawet wróg nie mógł odmówić pewnych oznak szacunku. W jego długiej służbie żołnierskiej należy podkreślić przede wszystkim dwa momenty: dowodzenie 5 armią w lecie 1920 r. oraz odbudowę polskich sił zbrojnych na obczyźnie w ciągu obecnej wojny.

Postawiony na czele polskiej 5 armii w okresie walnej bitwy o Warszawę w r. 1920, stoczył gen. Sikorski krwawy bój nad rzeką Wkrą. Uniemożliwił on Rosjanom obejście obrońców stolicy od północnego skrzydła, a wiążąc śmiałym przeciwnatarciem znaczne siły nieprzyjacielskie ułatwił naczelnemu wodzowi Józefowi Piłsudskiemu wielkie zwycięstwo pod Warszawą. Wiemy od jednego z wybitnych generałów francuskich, że gen. Weygand, który był podówczas doradcą polskiego Sztabu Głównego, wypowiedział się z najwyższym uznaniem o działaniach naszej 5 armii, mówiąc, że gdyby on był dowódcą tej armii, chciałby był tak dobrze nią dowodzić jak gen. Sikorski.

Za jeszcze większy czyn gen. Sikorskiego uznać należy odtworzenie polskich sił zbrojnych po niemiecko-sowieckim zalewie Polski w r. 1939. Jego to bowiem głównie zasługą jest, że nasze wojsko, lotnictwo i marynarka wojenna stanowią dzisiaj bardzo istotną siłę bojową, która stoi na pierwszym miejscu w rzędzie wszystkich państw chwilowo ujarzmionych i już dotychczas niepoślednią odegrała rolę w walce o wolność.

Zasługi gen. Sikorskiego dla Polski zakreślone są na miarę dziejową i kiedyś Ojczyzna należycie je oceni na kartach swej historii. Dziś jednak faktem jest oczywistym, że naród polski utracił jednego z największych i najlepszych swych synów, a narodom zjednoczonym ubyła jedna z czołowych postaci.

A. S.

Uznanie i współczucie...

Król angielski: Jestem wstrząśnięty wiadomością o tragicznej śmierci gen. Sikorskiego, który zginął podczas podróży w służbie dla swego kraju. Mój naród bierze udział w smutku narodu polskiego, z powodu straty tak wybitnego obywatela i żołnierza, który oddał olbrzymie usługi nie tylko swemu krajowi, ale i sprawie zjednoczonych narodów. W imieniu narodu brytyjskiego proszę Pana Prezydenta o przyjęcie mego szczerego współczucia.

Prezydent Roosevelt: Nauczyłem się podziwiać u gen. Sikorskiego jego miłość ojczyzny i zalety wodza, które tłumaczą zaufanie, jakim darzył go Pan, Panie Prezydencie, i cały naród polski. Jego umiejętności jako męża stanu oraz oddanie dla sprawy wolności i demokracji uczyniły z niego jedną z najwybitniejszych osobistości naszych czasów.

Churchill (podczas przemówienia w Izbie Gmin — wg ag. Reutera): Od pierwszych dni obecnej wojny aż do swojej śmierci uosabiał gen. Sikorski ducha, który umożliwił narodowi polskiemu przetrwanie najcięższych chwil w jego historii. Sprawa zjednoczonych narodów poniosła straszną stratę. Podkreślenie tego wobec Izby Gmin i uczczenie pamięci wielkiego patrioty i wiernego sojusznika jest moim obowiązkiem.

Podziwiałem zawsze gen. Sikorskiego jako męża stanu i żołnierza. Gen. Sikorski wierzył, że stworzona zostanie lepsza Europa. Wielka Brytania, która—spełniając daną gwarancję — wypowiedziała Niemcom wojnę po dokonaniu przez Hitlera napaści na Polskę, dzieli smutek polskiego sprzymierzeńca w całej pelni. Naród brytyjski ma pełne zaufanie do nieśmiertelnych wartości narodu polskiego. Wielka Brytania jest zdecydowana nadal popierać dzieło gen. Sikorskiego jako prezesa rady ministrów i naczelnego wodza i wierzy, że wysiłki zmarłego polskiego męża stanu nie były daremne.

Wspomnienia z Kozielska

Dzień, jakich było wiele

Budzi mnie nagle czyjeś dotknięcie i cichy, niewyraźny szept:

— Wstawaj. Szósta dochodzi.

Nad pryczę wystaje czyjaś głowa. Powoli wzrok oswaja się z ciemnością i po chwili dostrzegam już szarą plamę czoła, błyszczące oczy i długą, gęstą brodę. Henryk Rudziński.

— Wstawaj --- powtarza. --- Masz przecież dzisiaj dyżur.

Przytomnieję natychmiast. Głowa znika. Ostrożnie przełażę przez śpiącego obok mnie i schodzę z pryczy. Na dole jest zimno. Szczękam zębami, wciągając mocno zniszczony mundur. Rudziński gramoli się z powrotem na pryczę, szukając po omacku stopnia między »parterem« a »pierwszym piętrem«. W kącie obok pieca, na dolnej pryczy, chrapie głośno sędzia Szafran. Przez papier, którym zaklejona jest rozbita szyba, przecieka do środka mglista smuga nadchodzącego świtu.

Biorę z przedsionka duży kocioł na wodę. Przyniesienie rano wody na 20 ludzi, zamieszkujących oba te maleńkie pokoiki, jest pierwszą czynnością dyżurnego. Trzeba wstawać wcześnie, inaczej można tkwić w kolejce do samego południa. Drzwi skrzypią przeraźliwie głośno i długo. W progu momentalnie uderza mróz. Ostro, gwałtownie. Wyiskrzony, sypki śnieg trzeszczy twardo pod butami, dłoń trzymająca żelazny uchwyt kotła kostnieje z zimna. W dodatku okazuje się, że przy kranie stoi już sznur ludzi. Kiedy oni śpią, do pioruna?



— Co słychać? --- pada mechaniczne pytanie.

Już mi obrzydły te stereotypowe, codzienne słowa.

— Słyszał pan? Anglicy zażądali jakoby od bolszewików, aby odesłali nas do neutralnego kraju. Podobno mamy jechać do Turcji.

— I pan w to wierzy? Bujda, panie, bujda. Słyszałem to jeszcze tydzień temu.

Ale niski, okrągły lekarz jest uparty i zaczyna sypać jak z rękawa rzeczowymi --- w jego pojęciu — argumentami.

Mróz trzyma jak sto diabłów. Woda znowu przestała cieknąć. Ktoś podpala parę kawałków drzewa, którymi obłożył wystającą z ziemi rurę. Gęsty, szary dym gryzie w oczy, aż łzy płyną.

No, nareszcie, woda ruszyła. Robi się nam raźniej. Kolejka posuwa się wyraźnie naprzód. Przez zielone czubki sosen, które podchodzą aż do samych drutów stłoczonym tłumem brązowych pni i otaczają obóz szerokim pierścieniem, przebijają się czerwone refleksy wschodzącego słońca. Wstaje dzień. Jestem już przy samym kranie. Za mną ogon stojących w kolejce ludzi urósł nieprawdopodobnie. Przylatuje zdyszany Staroszczuk i obaj ciągniemy pełny kocioł wody do baraku. Wołają właśnie po śniadanie.

Łapię wiadro. Dyżurni z tamtych pokojów już czekają. Idziemy rzędem. Barak nasz jest dzisiaj służbowy, bierzemy więc śniadanie w pierwszej kolejce. Znowu ten rzadki kapuśniak! I to już trzeci tydzień z rzędu! Gdy wracam, wszyscy jeszcze leżą, tylko Staroszczuk --- rozebrany do połowy --- robi na ganku poranną gimnastykę. Też fanatyk...

— Pobudka! Śniadanie! --- wołam na całe gardło. Spod koca wysuwa się zaspana twarz.

— A co na śniadanie?

— Kakao i bułeczki z masłem --- odpowiadam ze złością, bo przemarzłem do szpiku, a w pokoju nie jest bynajmniej ciepło.

— Kto mówi o kakao i bułeczkach? --- Rudziński siada na pryczy i sięga po jakiś ciężki przedmiot.

Chowam się przezornie za stojące na stole wiadro z zupą. Po chwili rozstawiam 20 misek i rozpoczynam skomplikowaną procedurę dzielenia zupy. Najpierw wyławiam szare, źle obrane bryły kartofli. Po jednym w każdą miseczkę.

— Kto wczoraj nie dostał kartofla na wieczerzę?

— Kapitan Kucharski i podchorąży Tyszkiewicz --- odpowiada wczorajszy dyżurny.

Dostają teraz po dwa. Resztki pokruszonych ziemiaków wrzucam do swej miseczki. Taki już jest przywilej dyżurnego.

Śniadanie upływa w ciszy i skupieniu. Dwa razy w ciągu dnia powtarza się taki uroczysty moment. Dwa razy uświetnia go wodnista, szara zupa. Po śniadaniu następuje jedna z najgorszych rzeczy — mycie wiadra. Jest tłuste i lepkie od wstrętnego, śmierdzącego oleju.

Obok baraku, tuż za potrójną linią kolczastego drutu, stoją nieruchome, okryte śnieżnymi czapami sosny. Cichy, uroczysty, drzemiący las. Symbol wolności, rozrostu, swobody. A bliżej, oparta o drewniany »grzybek« tkwi otulona długim kożuchem postać wartownika. Patrzy w obóz. W słońcu lśni wąskie, ostre żądło bagnetu. Od czasu do czasu przeleci przez las donośny, natarczywy, wysoki ton gwizdka, zachrzęści śnieg pod nogami idącej zmiany, uderzą twarde, niskie słowa rosyjskiej komendy. Zaciskają się pięści... Sosny kąpią się w słońcu i strzelają smukłymi kolumnami w czysty, jasny błękit nieba.

Około dziewiątej wpada dyżurny obozu:

— Proszę wyznaczyć czterech ludzi do pracy. Muszą być młodzi. Bolszewicy mówili, że praca będzie krótka, ale --- sam pan rozumie...

Komendant naszych pokoików nie ma dużego wyboru.

— Stankiewicz, Staroszczuk, Tyszkiewicz, Wedow. Trudno, musicie iść znowu.

Ubieramy się. Jeden z kolegów nawet nie ma płaszcza, jest w drelichu, tak jak go wzięli do niewoli. Na pewno go zwolnią, przecież mróz dzisiaj aż trzeszczy. Ale o tym nie ma nawet mowy. »Starszyj wachtior«, który ustawia nas w szeregi i po raz piąty już sprawdza stan obecnych, nie chce o tym słyszeć.

— Kto nie rabotajet --- tot nie kuszajet --- powtarza słyszany przez nas już tysiąckrotnie frazes.

Brama otwiera się. Wchodzimy w las. Między drzewami leży oślepiająco biały, dziewiczy puch śniegu. Słońce kładzie się na nim złotymi, soczystymi plamami, dzwoni stężała mrozem cisza, z gałęzi sypie się brylantowy pył. Tak chciałoby się prysnąć w tę złotą kolumnadę sosen, w te śniegi, w tę ciszę. Po bokach idzie konwój. Nie mają karabinów tylko nagany w nisko zwieszonych skórzanych pokrowcach. Ogarnia mnie nagle niepohamowana chęć ucieczki. Choć na chwilę wyrwać się z szeregu, z konwoju, pobiec w las --- na przełaj...

Opanowuję się. Śnieg chrzęści pod nogami sucho, rytmicznie. Dochodzimy już do głównego obozu. Za tym murem, w dwóch dużych cerkwiach i klasztornych budynkach mieszka przeszło cztery tysiące naszych kolegów. Dla nas nie starczyło już miejsca. Umieszczono nas obok, w odległości 1 km od głównego obozu w tzw. Skicie (pustelni). Był to kiedyś żeński klasztor. Dziś pozostała jeszcze mała cerkiewka, w której obecnie mieści się nasza kuchnia, duży, murowany, piętrowy budynek i kilka mniejszych domków. Tak więc cały obóz w Kozielsku dzielił się na dwie części. Większy nazywano »obozem na dole«, a nasz — »obozem na górze«.

Przypomniało mi się, jak szliśmy tą drogą ze stacji, otoczeni licznym konwojem, nieludzko zmęczeni po okropnej podróży w natłoczonych towarowych wagonach. Byliśmy przybici, zmizerowani, zarośnięci, głodni. W Skicie, w pustych znpluskwionych budynkach czekały już na nas piętrowe prycze, widać niedawno zrobione, bo na podłodze pełno było sosnowych wiórów i trocin. Nic nie było jeszcze zorganizowane, wszędzie panował bałagan. Zaczęliśmy sami urządzać się jakoś, regulować życie wewnętrzne obozu, zdobywać z trudem u władz obozowych najpotrzebniejsze przedmioty, niezbędne już nie do normalnego życia, ale nawet do wegetacji, jaka czekała nas pośród tych drutów. Tak więc przez długie tygodnie spaliśmy na gołych deskach, stłoczeni jak śledzie w maleńkich pokoikach. Np. w budynku, który zajmowali sami prawie podchorążowie, w pokoiku, w którym byłoby ciasno dla trzech osób, umieszczono 16. Później warunki te uległy drobnej poprawie, przeniesiono bowiem część kolegów do głównego obozu.

Początkowo kuchnia w ogóle nie była urządzona, jedzenie dostawaliśmy b. nieregularnie, w śmiesznie małych ilościach (»kto nie rabotajet, tot nie jest«), chleba nie widzieliśmy czasami przez kilka dni. A jeśli już był, to ciężki, gliniasty, niewypieczony — obrzydliwy. Wobec tego sami zaczęliśmy pra-

(Dokończenie na str. 11)

Słowo i czyny

Co można o Tobie powiedzieć — tośmy już powiedzieli.
Aż imię Twoje wyblakło, jakby je czas spopielił...

Słowo nawet tak święte, żadnych dziś strun nie zatarga
Coraz boleśniej je słyszę, jak prośbę, jak wyrzut, jak skargę.

A pocóż mi Cię wzywać co dnia i co godzinę,
Gdy żyjesz we mnie od dawna, żyłami krwią mi płyniesz?

Sprężona w sile mięśni, zaczarowana w myślach
Idziesz ku mnie bez przerwy znad Bugu i znad Wisły.

W każdym krzyku, co budzi ulic warszawskich ciszę
Sygnałem stacji nadawczej, z piwnic dalekich Cię słyszę...

W każdym świście granatu, co gdzieś wśród wroga pęka
Zza murów Oświęcimia, jakimś nieludzkim jękiem.

Płyniesz ku mnie z oddali, jesteś i trwasz bez przerwy.
Pocóż mi budzić Cię w duszy, jakimś żałobnym werblem?

Innej dla Ciebie pamięci i innej chwały pragnę!
Niech imię Twoje najświętsze mój własny poświęci bagnet.

— — — — C e n z u r a — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

Twardym, żołnierskim krokiem po całej ziemi Cię roznieść,
Salwą armatnią bramy rozwalić Ci na roścież!

I zanieść Cię do Warszawy w dłoniach żołnierskich pragnę!
Gdy Cię obudzi mój granat, gdy Cię zdobędzie mój bagnet!

I. CZECHOWICZÓWNA

(»Orzeł Biały« nr 11/50)

Kołysanka dla zmarłej Matki

Czas idzie. A noc — za nim. Po piętach mu depce.
Deszcz pada. Po chodniku, rzekłbyś, że ktoś drepce,
Że krąży koło domu, zawraca, przystaje.

Deszcz pada teraz pewno i nad moim krajem,
Nad śpiewnym, nowogródzkim, gdzie drogi w mgłach mokną.

W tej chwili się otwiera jakichś marzeń okno,
I w oknie oświetlonym staje pani blada,
Wyglądając uważnie, czy deszcz już nie pada.

Przestał właśnie. Drżą jeszcze krople na trawniku,
Ale już widać gwiazdy i czuć woń goździków.

Patrzę z głębi ogrodu z przechyloną głową
Na ten dom, na ten ogród, na tę noc lipcową.
Widzę, jak owa pani na palcach się wspina,
Pokazując dwu chłopcom, którzy stoją przy niej,
Jakąś gwiazdę zieloną, co nad domem płynie.

Zaraz... Ja sobie przecież ten dom przypominam,
I to okno, i panią w obłoku firanek...
To przecież moja matka. Chłopcy — ja i Janek.
Tak. Pamiętam ten wieczór, kiedy nam śpiewała:
»O gwiazdeczko, coś błyszczała,
Gdym ja ujrzał świat«. — Boże, jak te lata lecą,
Zdmuchując po kolei gwiazdy, co nam świecą.

»Gdzie ta gwiazda nad domem?« — pytamy się z Jankiem.
»O — tam. Wychylcie głowy. Widzicie? Nad gankiem!«
Patrzymy z bratem w górę. Wzrok nieba dotyka.
»O śpiewaj, mamo, dalej!« — Ale gwiazda znika.*)

STANISŁAW BALIŃSKI

*) »Wielka Podróż«, M. I. Kolin LTD, Londyn.



Jak wygląda na codzień pożycie żołnierzy polskich i brytyjskich? Żołnierze nieznani, strzelcy, rudzielcy z Irlandii i perkatonose warszawiaki, blondasy z Nowej Zelandii i śląskie pierony, cockney'e z Londynu i batiary ze Lwowa?

Żyją z sobą dobrze, ponad wszelkie spodziewanie. Jest coś wzruszającego w tym, jak dbali są o to egzotyczne koleżeństwo, jak je podkreślają — na migi — i zaznaczają przy każdej sposobności, jak w sobie pielęgnują tę wzajemną potrzebę PRZYJAŹNI.

Polskie słowo »przyjaciel« i angielskie »friend« — to nie jest to samo, chociaż każdy słownik powie, że to samo oznacza. Anglik powie »my friend« o kimś, kogo poznał wczoraj i kto wydał mu się dość sympatyczny, mówi »friend«, a myśli raczej »znajomy« — i na tym koniec. Polak, o wieleż łatwiejszy (z pewnością aż za łatwy...) do zawierania »dobrych znajomości«, do intymnych wynurzeń, kiedy powie o kimś »przyjaciel«, to już go tak łatwo nie zapomni, kiedy komu da swą przyjaźń, to mu już daje cząstkę swej duszy i swego serca na długie lata.

Mówiąc o tej żołnierskiej, polsko-angielskiej przyjaźni, myślałem o polskim sensie i odcieniu tego słowa.

Kierowcę warszawskiej taksówki dostawiła żandarmeria do szpitala. Jedno oko schowane w potwornej spuchliźnie, drugie podbite, czarne. Ręka zwichnięta, może złamana, jeszcze niewiadomo. Wzrostu miał okrągło półtora metra i aż dziwne, ile się na tej drobnej przestrzeni zmieściło skaleczeń, podrapań, guzów i sińców. Doktór załamał ręce.

— Panie doktorze — powiedział szofer-Feluś — melduję, że to było tak: Ja w ogóle nigdy pierwszy nie zaczynam, z praktyki taką zasadę mam, a w danym wypadku byłem w mieście bez przepustki, więc logika wskazuje, że strzelec bez przepustki awantury nie zacznie. Tyle, że idę ulicą i widzę, że Araby kogoś biją. Ja przeciw Arabom nic nie mam, zawsze jak którego z naszych zobaczą mówią »boloń dobra«, więc logika wskazuje, że pomyślałem sobie, niech się biją, nie mój interes. Patrzę ja, kogo tak biją i przyuważam, że dwóch Anglików w nietrzeźwym stanie. Więc ja dalejże [Arabów prać, panie doktorze.

— Ale dlaczego?! Pocoś się mieszał do cudzej bijatyki?

— Ona już nie była cudza. Wspólna była. Aliancka. Albo jesteśmy alianci, albo nie. Żandarmeria ma swoją logikę. U nich przepustka ważniejsza, a u mnie aliancka zasada. Więc, rozumie się, zacząłem prać i we trzech daliśmy już radę, bo Arabów nie było więcej jak dziesięciu...

Feluś wyszedł ze szpitala w tydzień, wyremontowany bez zarzutu. Następne dwa tygodnie rekonwalescencji odbył w areszcie. Ale głos ludu, pod namiotami, orzekł bezapelacyjnie, że racja była po stronie Felusia a sprawiedliwość omyliła się boleśnie. Bo każdy Polak zrobiłby to samo. Logika aliancka.

Nasi chłopcy to nie baranki. Są ambitni, zadzierzyści, honorowi i ręce ich stale swędzą. Dość spojrzeć na dryblasów z Australii, z Nowej Zelandii, z Południowej Afryki, żeby zrozumieć, że teżby dużo za to dali, żeby się móc od czasu do czasu serdecznie z kim pobić. Ale kroniki żandarmerii polskiej ani alianckiej nie znają chyba wypadku, aby się alianci między sobą pobili. Aż żal pomyśleć, ile okazji — ale nie było wypadków.

— Dlaczego strzelec nie ma orzełka na furażerce? — spytał surowym głosem porucznik przy raporcie.

— Panie poruczniku, melduję, że wykluczone utrzymać orzełka na czapce.

— Cóż za bzdury? Odlatuje, czy co?

— Nie, panie poruczniku. Australijczycy zabierają.

Był okres, kiedy Australijczycy wariowali na punkcie orzełków. Za trzy orzełki można było dostać australijski kapelusz i piwo przez cały wieczór. Ale szło o to, by orzełek nie był kupiony w sklepie, ale zdjęty z polskiej czapki — o ile możliwe — przemocą.

Na ulicy w Tel-Aviv'ie toczyła się kiedyś nocą zawzięta, ale rozbawiona walka o orzełka z czapki. Australijski dryblas poprzysiągł sobie, że musi dostać tego ptaszka, za którego — krzyknął — poszedł na wojnę. Polski zaś właściciel »ptaszka« poczuł się tym powiedzeniem dotknięty. Zaczął gderać kulawą angielszczyzną, że my nie chcemy, aby ktoś bił się za orła, tylko razem z orłem, tak samo zresztą za orła, jak za siebie samego. I w ogóle żeby kolega z Australii liczył się ze słowami.

Ale kolega z Australii zrobił wielkie oczy, dlaczego kolega z Płocka się gniewa? Kolega z Australii naprawdę nie wie czy poszedłby na wojnę tak zdecydowanie, gdyby go napaść niemiecka na tę »wonderful Poland« nie dotknęła do żywego. Kolega z Australii wie, że w Australii jest »mount Koshiushko« i zdecydowanie upiera się, że będzie się bił za orzełka, właśnie z a, absolutnie z a, nikt mu nie zabroni, a najlepszy dowód, że natychmiast, o pierwszej w nocy idzie do polskiej komendy miasta i zgłasza się do polskiego wojska, a na Australię gwiżdże!

Koledze z Płocka nie zostało nic innego, jak natychmiast ofiarować mu orzełka, zmobilizować chyłkiem wszystkie posiadane przez polską grupę piastry i stawiać piwo, aż do ostatniego milima.

W trakcie tej »konferencji« koledzy z Australii jednogłośnie zdecydowali, że po wojnie, żeby tam nie wiem co, nic nas nie obchodzi — Polska musi dostać wspólną granicę z Australią...

W obozie polskim pod Aleksandrią był pewien wzorowy żołnierz: nie pił, nie palił, nie kochał się. Kiedyś pojechał do miasta i miał wrócić na wieczerzę. Przepustkę miał tylko do godz. 20. Wrócił jednakże nazajutrz w południe. Wszedł w bramę obozu sztywnym krokiem, właściwie chwiejnym. Patrzał dookoła szklanymi oczami, na zapytania odpowiadał dziwnym, niezrozumia-



NASZE SPRAWY

POLSKA a ROSJA. Sprawa zatargu polsko-sowieckiego na razie zeszła ze szpalt prasy, nie znaczy to jednak bynajmniej, aby sporne kwestie zostały załagodzone. Wręcz przeciwnie: rząd sowiecki chowa w zanadrzu swego pupilka »Komitet patriotów polskich« z Wandą Wasilewską-Korniejczukową na czele. W połowie czerwca komitet ten zwołał do Moskwy »Kongres patriotów polskich« i radio moskiewskie, podając o nim sprawozdania, rozpływało się nad tym, jak to dziesiątki i setki młodych Polaków śpieszyło (chyba na piechotę?) ze wszystkich stron ZSRR na ten zjazd z oświadczeniem swej gotowości całkowitej współpracy z ZSRR i walki po stronie armii czerwonej. Ten to komitet nieomieszkał wysłać do Stalina podziękowanie za jego ostatnie przyjazne wypowiedzenie się pod adresem Polski i za zezwolenie na wystawienie dywizji polskiej na obszarze ZSRR. W odpowiedzi Stalin zapewnił kongres, że Sowiety uczynią wszystko, co będzie w ich mocy, aby umocnić przyjaźń polsko-rosyjską i wszelkimi siłami popierać odbudowę silnej i niepodległej Polski. Jak pogodzić tę »silną« Polskę z sowieckimi roszczeniami do więcej niż 50% jej przedwojennego obszaru — zrozumieć trudno.

19. VI toż samo radio mówiło o żądaniach terytorialnych wspomnianego kongresu, obejmujących Górny Śląsk (czy i Opolski?) oraz ujście Wisły (czyli Gdańsk. — Oba przypiski red.). Poza tym kongres domagał się zlikwidowania Prus Wschodnich, będących bastionem imperializmu niemieckiego, a które powinny służyć jako polski dostęp do morza Bałtyckiego. Wreszcie kongres postanawia, że Zaolzie i skrawki Jaworzyny powinny być zwrócone Czechosłowacji, jako też, że Polska nie może posiadać ani cala ziemi ukraińskiej, białoruskiej czy litewskiej. Z jakichś wyższych względów przywilej ten ma mieć tylko ZSRR.

W związku z tym zatargiem polsko-sowieckim godzi się zauważyć (co zresztą dobitny znajduje wyraz w prasie polskiej, jaka do nas dotarła z Anglii), że »jest rzeczą po prostu modną w Anglii nic nie mówić ani nie pisać, coby mogło w jakikolwiek sposób urazić uczucia Rosjan«. Uczucia Polaków są widać cokolwiek mniej delikatne. Dlatego też warto podkreślić głos publicysty Voigta w czasopiśmie »Nineteenth Century and after«, że granice Polski pozostają dokładnie takie same jak przed wrześniem 1939, oraz że zarówno Rosja jak i Anglia zobowiązane są do dopomożenia celem odzyskania pełnej niepodległości Polski w granicach sprzed 1. 9. 39.

»Basler Nachrichten« (22. 6), skąd czerpiemy tę wiadomość, przypomina, że Rosjanie nigdy nie zadali sobie trudu, by udowodnić nie tyle krzywdzący co śmieszny zarzut »zdrady« i porozumienia się gen. Sikorskiego z Niemcami. Poza tym, że uznając wszystkich pozostałych w Sowietach Polaków — wbrew ich woli! — za obywateli sowieckich, tworzą jednakże z nich dywizję polską. Do dalszych niekonsekwencyj należy, iż przystępuje się w Kujbyszewie do wydawania czasopisma »Wolna Polska«, zwracając się do osób, wydających to pismo, jako do Polaków i to w kraju, gdzie Polska oficjalnie nie istnieje więcej. Rosja usiłuje poróżnić między sobą Polskę, Czechosłowację i Jugosławię. Pozostaje



Ulica Rycerska w Warszawie

łym językiem. Zawezwany przed oblicze dowódcy kompanii, wyprężył się na baczność, krzyknął: wupii! i upadł. Kiedy go podniesiono — już spał. Znajomy, swojski zapach jaki bił od niego wskazywał, że to sen a nie omdlenie. Obudził się po 24 godzinach i opowiedział słabym głosem:

Podszedł na pl. Mahmeta Ali do ciężarówki, która ruszała w naszą stronę i spytał, czy go podwiozą?

— Naturalnie, wsiadaj.

Była już na ciężarówce cała kupa żołnierzy. Spytali go, kto on taki? Powiedział, że Polak. Wówczas zaczęli z ogromnym ożywieniem coś między sobą mówić. Jechali bardzo szybko. Kiedy mijali jego obóz prosił, żeby przystanęli, krzyczał, pokazywał, że to już tu, błagał, wrzeszczał, ale pojechali dalej. Wysiedli w swoim obozie i wytłumaczyli mu, że są z Południowej Afryki i słyszeli, iż Polacy umieją pić najlepiej na świecie, że im to od dawna nie daje spokoju, muszą się z nim napić, nie mogą nie pić, skoro im sam wlazł w ręce, bardzo im przykro, ale zupełnie wykluczone, żeby się nie napili, bo nie mogą sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek na świecie pił lepiej, niż oni...

— Co miałem robić? — zapytał słabym głosem.

— Bronić imienia polskiego — odpowiedział mu głos ludu.

— Broniłem — powiedział skromnie cichy bohater.

Było to w jakimś namiocie, przed którym postawili straż, żeby ich nie nakryto. Pamięta, że nikt nie chciał pójść na tę wartę, każdy chciał pić, musieli wylosować. Reszta wieczoru rozpłynęła się w czarnej zawiei. Przypuszcza tylko, że nie skompromitował polskiego imienia, bo rano wsadzili go do samochodu z wielkim szacunkiem i odstawili do polskiego obozu.

Między dwoma sąsiadującymi z sobą obozami »gdzieś w Egipcie« doszło do cichego dżentelmeńskiego porozumienia. Oba na drodze do miasta patrolowały surowe oczy polskiej i angielskiej żandarmerii. Przez spory okres czasu nie można było wpaść na to, w jaki sposób żołnierze znikają na wypadziki do miasta, drogą, którą i mysz by się nie prześlizgnęła. A trick był taki prosty...

Żołnierze Jego Królewskiej Mości przechodzili obok czujek angielskich w polskich furażerkach... z polskimi orzełkami na czapkach... i rozmawiali z sobą po polsku... Tzn. mówili z ożywieniem »dobra, dobra«. A »turyści generała Sikorskiego« mijali znowuż swoje czujki, wyposażeni w komplety odznak angielskich... i rozmawiali z ożywieniem po angielsku... Tzn. mówili »okej Dżordż. Hello. Siur!«

Dopiero jeden Jaś ich wysypał. Zdenerwował

tylko odczekać, kto ostatecznio zostanie odizolowany, czy Polska, czy też Czechosłowacja, której Sowiety okazują tyle dowodów sympatii.

Sprawa Polski wzbudziła i w Europie i gdzie indziej, zwłaszcza zaś w Turcji, daleko idące uczucia przyjaźni. Gen. Sikorski podczas swego pobytu na Średnim Wschodzie oświadczył, iż losy Polski pozostają w rękach Churchilla. Być może, że w związku z tym znajduje się przesłane w końcu czerwca naszemu premierowi i naczelnemu wodzowi pismo osobiste od Roosevelta, wystosowane po powrocie z Moskwy Davies'a, specjalnego wysłannika prez. Roosevelta. Ogólnie się przypuszcza, iż pismo to pozostaje w związku z »drzemiącym« konfliktem polsko-sowieckim. W każdym razie wydaje się, iż Sprzymierzeni odkładają załatwienie tego zatargu do chwili osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa.

Powiedzmy sobie jasno: rząd polski w Londynie nie jest tam w tym celu, by przypodobać się tym czy innym politykom albo brytyjskiemu ministrowi spraw zagran., nie chodzi również o to by uszanować tak przewrażliwione czasami uczucia ambasady sowieckiej, — lecz ma do spełnienia ważną misję, z której jedynie narodowi polskiemu zdawać będzie sprawę.

Voigt dochodzi do wniosku, że dla Rosji sprawa polska nie jest tak niesłychanie doniosła, jak dla Polski sprawa rosyjska, Rosja bowiem na zrzeczeniu się spornych obszarów nic nie straci, podczas gdy dla Polski oznaczałoby to utratę połowy terytorium i 1/3 ludności. Anglia, opierając się na swą opinię publiczną, powinna się domagać od Rosji zaniechania polityki antypolskiej oraz waśni, niegodnych wielkiego mocarstwa.

— Przy obławach na Norwegów uchylających się od przymusowej pracy na rzecz Niemiec, brać mają udział oddziały »policji pomocniczej« składającej się z Rosjan, Holendrów i Polaków. Wiadomość ta pochodzi ze Sztokholmu z dn. 19. 6.

---

się i zapomniał, co mówić. Mógł był nic nie mówić, ale zląkł się przenikliwych oczu pana sierżanta, któremu twarz pod angielską furażerką wydała się dziwnie swojska: gdzie ja tą gębę widziałem? Więc Jasio zaczął gorączkowo powtarzać: »Jiku miku, fiku miku«. Może myślał, że to brzmi po angielsku, ale nie brzmiało.

Nie ma wypadku, aby nie zatrzymał się angielski samochód na szosie, widząc idących polskich żołnierzy i nie zabrał ich, aby podwieźć. Nie ma wypadku, aby polski szofer nie zatrzymał wozu na widok żołnierza angielskiego, któremu można by się tym samym zrewanżować. Aż ich języki świerzbią, aby na wozie zacząć od razu rozmowę — ale nie idzie. Powiedzą sobie: come on, hello, sit down, okej, dobra, dobra.

Może i nie trzeba więcej mówić, by sobie powiedzieć, że czują ten wzajemny prąd życzliwości, tę iskrę przyjaźni, która przeskakuje z serca na serce, że są tej życzliwości i tej przyjaźni radzi. Że jest wszystko między nimi O k e j.

Ta wojna kiedyś się skończy. Ale ta sympatia życzliwa, ta przyjaźń koleżeńska chyba już pozostanie.*)

Marian Hemar

---

*) „Nasze drogi", Numer specjalny polsko-angielski. Wydane na Średnim Wschodzie.



O wojnie podjazdowej

Niepokojenie nieprzyjaciela na tyłach, zadawanie mu niespodziewanych strat, zakłócanie jego postojów i poruszeń, trzymanie go w stałym pogotowiu, niszczenie jego urządzeń i komunikacji, wreszcie opóźnianie lub nawet niszczenie jego zaopatrzenia wywiera bardzo duży wpływ na działania wojenne, nie dziw więc, że strony walczące przywiązują dużą wagę do tego rodzaju walki i używają do tego oddziałów partyzanckich, które chroniąc się po lasach i w innych trudno dostępnych terenach działają na obszarach zajętych przez nieprzyjaciela.

Działania takie, zwane u nas wojną podjazdową albo szarpaną, były już dawniej znane i w historii odegrały dużą rolę, m. in. podczas odwrotu Napoleona z Rosji i w czasie naszych powstań, szczególnie r. 1863/64. O ile jednak dawniej partyzanci działali na ogół na własną rękę i wystąpienia ich były oderwane, o tyle współczesna technika — umożliwiając dowództwu utrzymywanie stałego kontaktu z partyzantami — wpłynęła znacznie na planowość i skuteczność ich działań. Partyzanci mogą przez radio zawiadamiać swoje dowództwo o każdym ruchu nieprzyjaciela, o jego sile i rozmieszczeniu, sami zaś mogą otrzymywać ścisłe zadania, wiążące się z działaniami na froncie i w ten sposób wpływać na ich przebieg.

Do niepoślednich kart toczącej się wojny należeć będą takie walki partyzanckie, prowadzone w krajach zajętych przez Niemców, szczególnie w Polsce, Jugosławii i zachodniej Rosji. Brak poczucia bezpieczeństwa, konieczność trzymania silnych garnizonów w stałym pogotowiu, zwalczanie wykrytych oddziałów partyzanckich i ponoszenie ustawicznych strat w ludziach, sprzęcie i zaopatrzeniu jest dla Niemców wielkim obciążeniem i zmniejsza znacznie ich potencjał wojenny.

Jak bardzo daje się Niemcom działalność partyzantów we znaki, świadczy m. in. znamienny artykuł znajdującego się na froncie rosyjskim naczelnego redaktora »Kölnische Zeitung«. Poniżej podajemy jego streszczenie:

»Działalność partyzantów rosyjskich rozpoczęła się właściwie na większą skalę dopiero w zimie 1941/42 i zmusiła Niemców do przeprowadzenia na wiosnę 1942 akcji oczyszczenia tyłów z oddziałów partyzanckich. Akcja ta nie dała pełnych rezultatów i wiele oddziałów schroniło się do lasów i na błota, skąd prowadzą dalszą walkę, otrzymując posiłki od miejscowej ludności oraz drogą powietrzną z głębi kraju. Oddziały te są zorganizowane na sposób wojskowy i podlegają bezpośrednim rozkazom rosyjskiego sztabu głównego. Partyzanci utrzymują ścisłą łączność z okoliczną ludnością i często zmuszają ją nawet wbrew jej woli do współdziałania. Opornych rozstrzeliwują, obojętne dla ich sprawy wsie niszczą i dobytek ich dzielą między siebie i współdziałające z nimi osiedla. Wybitni przywódcy uznawani bywają przez rząd sowiecki za bohaterów narodowych, a poszczególni partyzanci otrzymują dowody uznania w postaci odznaczeń.

W żywność zaopatrują się na miejscu, natomiast dostawa broni i amunicji odbywa się w różny

sposób. Wiele broni i amunicji zakopano wcześniej, wiele odnajduje się na polach wielkich bitew, nierzadko zdobywa się ją w magazynach nieprzyjacielskich lub przez napady na kolumny zaopatrzenia. Często otrzymują też partyzanci broń, amunicję, sprzęt radiowy, opatrunki itp. drogą powietrzną. Dzięki temu partyzanci posiadają obecnie nowoczesną broń maszynową, działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze, a nawet czołgi. Łączność utrzymują przy pomocy sprzętu radiowego, w który są bogato zaopatrzeni.

Ubrani są bardzo różnie, przeważnie po cywilnemu, często jednak noszą mundury i to albo rosyjskie albo niemieckie. Zdaniem autora artykułu nie walczą oni jak żołnierze, lecz jak »bandy«, dokonują bowiem z upodobaniem podczas nocy aktów sabotażu w stosunku do urządzeń kolejowych, mostów i dróg, obiektów gospodarczych, magazynów itp., dalej napadają na osiedla, punkty oparcia, mniejsze oddziały w marszu, zmotoryzowane kolumny i pojedyncze pojazdy, kładą również miny na drogach. W wypadku napotkania silniejszego nieprzyjaciela unikają walki i wycofują się do lasów, gdzie posiadają silne umocnienia. Okrążeni starają się wymknąć, jeśli to okaże się jednak niemożliwe — walczą do ostatka, gdyż mają do stracenia tylko życie.

Zwalczanie partyzantów nie jest łatwe, mają oni doskonale zorganizowaną służbę informacyjną. Ludność powiadamia ich o każdym niedostatecznie zamaskowanym zbliżaniu się oddziału wojskowego i wtedy unikają okrążenia. Jeśli się ono uda, wówczas specjalne oddziały przeszukują las, zacieśniając z dnia na dzień pierścień wkoło objętego akcją terenu.

Przeszukiwanie lasu nie jest łatwe, nie można bowiem ograniczyć się tylko do przejścia po drogach, lecz trzeba dotrzeć do każdego zakątka. Wielką trudność stanowią błota i bagna; przy ich przekraczaniu muszą się żołnierze po prostu trzymać za ręce, aby wzajemnie chronić się przed zatonięciem. Przemoczeni i zziębnięci spędzają długie dni w lasach, gdzie są narażeni na różne zasadzki, na brak zaopatrzenia i na trudy, które często nie dają rezultatów, nieraz bowiem partyzantom udaje się umknąć«.

Tyle sprawozdawca niemiecki! W Europie działalność partyzantów jest chwilowo świadomie powstrzymywana i ogranicza się do pewnych tylko rejonów. Z całą siłą wystąpi wojna podjazdowa zapewne dopiero w momencie najazdu Sprzymierzonych na kontynent. Nie trudno zrozumieć, jaką rolę może wówczas odegrać, gdy cała Europa stanie w ogniu walk decydujących o jej przyszłości.



Praca przymusowa

W BELGII. Pracę przymusową w Belgii Niemcy wprowadzili etapami, których ukoronowaniem był dekret niemieckiego komendanta wojskowego w tym kraju z dnia 10 października 1942: »Robotnicy belgijscy mogą być zmuszeni do pracy nie tylko w Belgii, ale i na terenie Rzeszy. Zarządzenie to dotyczy mężczyzn od 18 do 50 i kobiet od 21 do 35 roku życia«. Przymus pracy jednakże, jak się zdaje, nie doznał entuzjastycznego przyjęcia, czego dowodem są dalsze zarządzenia w tej mierze. I tak dnia 9 kwietnia 1943 gauleiter Sauckel w Brukseli w przemówieniu swym napadł gwałtownie na te »środowiska w Belgii, które, wpadłszy w sidła kłamców żydowskich, określają mobilizację niemiecką do pracy jako deportację. Otrzymałem od Führera — mówił gauleiter — zadanie ustanowienia warunków pracy. Ostrzegam każdego, ktoby chciał szlachetność Führera wystawiać na próbę i uważać ją za słabość«.

Reakcja na te zarządzenia była różnorodna. Żywe protesty podniosły się we wszystkich środowiskach. Król Belgów Leopold III w liście do prof. Nolfa, prezesa Belgijskiego Czerwonego Krzyża pisze: »Wobec przymusu, nałożonego na moich rodaków, zwróciłem się do kanclerza Rzeszy Niemieckiej; zawiadomiłem go o głębokim poruszeniu, które we wszystkich warstwach ludności powodują masowe deportacje. Odpowiedziano mi, że konieczności wojenne nie pozwalają Niemcom na zaprzestanie deportacji«.

Kardynał van Roey zaprotestował u gen. von Falkenhausena przeciw obowiązkowi pracy niedzielnej, nałożonej na górników. W odpowiedzi gen. von Falkenhausen zdziwił się stanowisku kardynała, skoro wydane zarządzenia są skierowane przeciw bolszewizmowi. Co zaś do zarządzeń deportacyjnych — pisał gen. von Falkenhausen — to one w rzeczywistości nie istnieją. Kontrakty na pracę w Niemczech są całkowicie dobrowolne; wysyłamy tam jedynie element niespokojny, który zasłużył ze strony władz okupacyjnych na surowszą karę«.

Dnia 21 marca 1943 nowy list arcypasterski arcybiskupa Malines z siłą zwracał się przeciw »mobilizacji belgijskich rąk roboczych. »Mówią nam — brzmi list arcypasterski — że te środki są konieczne dla ochrony cywilizacji. Rozum ludzki i moralność chrześcijańska potępiają to postępowanie jedyne w swoim rodzaju i barbarzyńskie«.

WE FRANCJI. Przymus pracy dla Niemiec obowiązuje i we Francji. Premier Laval w swym przemówieniu radiowym z dnia 7 czerca br. podał, że 220.000 robotników musi się udać do Rzeszy w okresie od 1 kwietnia do 1 lipca 1943. Prócz tego 250.000 jeńców francuskich w Niemczech postanowiono zamienić na wolnych pracowników i zamiana ta już się odbywa w szybkim tempie według okręgów wojskowych. Prawnie pozostają oni nadal jeńcami, przeto władze niemieckie mogą za pewne wykroczenia zażądać ich powrotu do obozu jeńców.

I we Francji przymus pracy nie wywołał entuzjazmu, co widać z dalszych wynurzeń premiera Lavala: »Są tacy, którzy do dziś nie wypełnili swego obowiązku, oraz tacy, co pragnęliby naśladować ten przykład. Pierwszym powiadam — nie trwajcie w tym błędzie. Drugim radzę, aby nie dali się oszukiwać niezdrowej propagandzie. Ostatecznie i tak będą musieli jechać. Wydano już zlecenia i będą powzięte surowe zarządzenia nawet przeciwko ich rodzinom lub obcym osobom, o ile są one wspólnikami«.

Do tych surowych zarządzeń należy zaliczyć obowiązek posiadania kart pracy przez wszystkich, którzy podlegają pracy przymusowej, poczynając od dnia 7 lipca 1943. Za fałszowanie i przerabianie tych kart oraz za samo niewyrobienie ich sobie grozi kara więzienia od 6 miesięcy do trzech lat, lub nawet więcej. Nieposiadanie karty pracy przy sobie pociąga za sobą karę grzywny lub aresztu.

POMOC DLA DZIECI POLSKICH

ŻOŁNIERZE!

W grudniu ubiegłego roku zwróciłem się do Was o opodatkowanie się na rzecz pomocy dzieciom w Polsce, na razie na przeciąg sześciu miesięcy. Znając Waszą ofiarność i solidarność, byłem pewien, że apel mój nie przebrzmi bez echa. Suma złożonych na ten cel składek przewyższyła moje oczekiwania, dowodzi ona, że dzieci polskie — największe dobro i przyszłość narodu — są naszym najwyższym ukochaniem, a nasze pragnienie dopomożenia im, to nie chwilowy zryw, czy »słomiany ogień«, ale konsekwentny wysiłek, dzięki któremu powstało dzieło, jakim będziemy mogli poszczycić się w przyszłości.

Zanim przejdę do dalszych wniosków, przedstawię Wam pokrótce wyniki dotychczasowej, tj. do dnia 22 czerwca 1943 r. akcji na rzecz pomocy dzieciom polskim:

A. Za pośrednictwem Dowództwa D.S.P.

Wpływy:	— wpłaty uzyskane z naszych składek wynoszą .	40.226.80 fr.
	— z imprez urządzanych przez internowanych żołnierzy (koncerty, C.O.P.A. itp.)	4.828.02 fr.
	— z darów naszych przyjaciół	1.225.00 fr.
	razem wpływy: . .	46.279.82 fr.
Wydatki:	— przekazano do Union Internationale de Secours aux Enfants (Międzynarowy Komitet Pomocy dzieciom) w Genewie . .	33.370.00 fr.
	— przekazano dzieciom w formie innej pomocy .	306.90 fr.
	— wydatki administracyjne	10.50 fr.
	razem wydatki . .	33.687.40 fr.
	Pozostała suma	12.592.42 fr.,

będzie wpłacona do Union I.S.E. w Genewie po uzyskaniu zezwolenia na wysłanie dalszego transportu mleka skondensowanego do Polski.

Nadmieniam przy tym, że wszystkie pojedyncze wpłaty są ogłaszane oraz, że tak wydatki, jak i wpływy, nadsyłane pod adresem kpt. Andrzeja Potoczka, są kontrolowane przez wyznaczoną przeze mnie Komisję Rewizyjną.

B. Wpłaty przez obozy wprost do Union I.S.E.

Niezależnie od powyższego obozy, względnie poszczególni żołnierze wpłacili przed dniem 31 marca 1943 r. bezpośrednio do Union I.S.E. w Genewie (wg nadesłanych zestawień) kwotę . 14.699.83 fr.,

czyli ogólna zbiórka wśród i za pośrednictwem internowanych żołnierzy polskich w Szwajcarii na pomoc dzieciom polskim przyniosła do dnia 22 czerwca 1943 r. sumę . . . . . 60.979.65 fr.

Z sumy tej otrzymało względnie otrzyma pomoc około 850 już zarejestrowanych dotychczas dzieci. Dalsza pomoc, względnie pomoc dla większej ilości dzieci, jest uzależniona od wysokości składek, jakie będą zadeklarowane na następne 6 miesięcy.

Reasumując wysokość tych składek, dokonanych niezależnie od pomocy naszej dla rodzin żołnierzy — emigrantów polskich we Francji, dla jeńców polskich w Niemczech itp. — zdaję sobie dokładnie sprawę, iż jest to kropla w stosunku do olbrzymich potrzeb w chwili obecnej — niemniej jednak stwierdzam, iż składki te są duże w stosunku do naszych możliwości. Duże tym bardziej, iż przytoczone sumy są akcją wybitnie społeczną, nie obejmującą prawie zupełnie własnych dzieci internowanych żołnierzy polskich w Szwajcarii, które przecież znajdują się w niemniej trudnych warunkach. Dlatego też — Żołnierze — specjalnie podkreślam Waszą ofiarność, z której dziś już dumni być możemy.

Pomoc dla dzieci w Polsce przekazujemy dzięki Międzynarodowemu Związkowi Pomocy Dzieciom w Genewie (U.I.S.E.), który kieruje ją pod adresem: Fundacja Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem w Warszawie. Początkowe przesyłki gotówki zostały całkowicie zaniechane i na podstawie ostatnio uzyskanych zezwoleń zastąpione przesyłkami skondensowanego mleka słodzonego. Związek wysłał dotychczas z własnych oraz naszych funduszów:

— Od października 1942 r. do lutego 1943 r. gotówką do Warszawy . .	Fr. 9.850.65
— Od października 1942 r. do czerwca 1943 r. gotówką dla dzieci polskich na Węgrzech	Fr. 21.757.15
(wysyłka na Węgry pochodzi prawie w całości z innych funduszów).	
— Część raty za marzec 1943 r. dla dzieci warszawskich wydana została w postaci mleka skondensowanego. Przesyłko ta, zawierająca 36 skrzyń czyli 1,728 puszek po 400 gramów mleka, wartości	Fr. 2.300.—
wysłana 8.I.43. przybyła do Warszawy dopiero w kwietniu.	
— Na początku kwietnia 1943 r. wysłano 600 skrzyń mleka skondensowanego, zawierających 28.800 puszek à 400 g zawartości	Fr. 27.950.—
Transport ten, według listu Fundacji, przybył do Warszawy 11 czerwca 1943 r. 200 skrzyń przeznaczonych jest dla szpitala dziecięcego, a 400 skrzyń zapewni przydział mleka dla 935 dzieci, objętych opieką chrzestną za pośrednictwem U.I.S.E.	
— Ogólna sumy wysyłek, dokonanych od października 1942 r. do czerwca 1943 r. przez U.I.S.E. wynosi zatem gotówką i w postaci mleka skondensowanego	Fr. 61.857.80

U.I.S.E. czyni wszelkie starania celem zapewnienia ciągłości wysyłek mleka skondensowanego dla dzieci w Polsce. Podkreślam tu jeszcze raz zapewnienie, udzielone mi przez Sekretariat Generalny U.I.S.E., iż w wypadku, gdyby wysyłka mleka skondensowanego, zakupionego z naszych funduszów, nie mogła nastąpić w terminie przewidzianym, to wysyłka ta zostanie dokonana niezwłocznie, skoro tylko okoliczności na to pozwolą.



Poza tym Międzynarodowy Związek Pomocy Dzieciom przeznacza również z własnych funduszów, a zwłaszcza z sum oddanych mu do dyspozycji przez własną organizację szwedzką, znaczne sumy na wysyłkę mleka skondensowanego dla dzieci w Polsce, bądź to za pośrednictwem Fundacji Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem w Warszawie, bądź też innych instytucji polskich.

W ten sposób w ogólnych zarysach przedstawiają się dotychczasowe rezultaty akcji na rzecz pomocy dzieciom w Polsce. Rzecz prosta, iż warunki najzupełniej od nas niezależne nie pozwalają na takie uregulowanie pomocy i na takie szybkie jej przekazywanie, jak to jest naszym życzeniem. Niemniej jednak uczyniłem wszystko możliwe, aby pomoc dla dzieci w Polsce doszła w formie jak najbardziej realnej i aby składki nasze nie zostały zmarnowane.

* * *

W miesiącu czerwcu 1943 r. kończy się pierwszy 6-miesięczny okres, na którego co najmniej przeciąg zadeklarowaliśmy opiekę nad 850 dziećmi w Polsce. Czyż mamy zaprzestać opiekować się tymi dziećmi?

Nie chcę wywierać żadnego nacisku na rzecz dalszego opłacania składek — choćby tylko dlatego, aby akcja naszej pomocy dzieciom nie straciła na wartości moralnej. Pragnę bowiem, aby akcja ta była samorzutnym odruchem wszystkich obozów — takim samym właśnie, jak te nadesłane już wpłaty i deklaracje tych obozów, które z własnej inicjatywy odpowiedziały pozytywnie na powyższe pytanie. Dziękuję im też najserdeczniej za tak obywatelskie ich stanowisko. Wierzę, że i tym razem spełnimy wszyscy solidarnie nasz obowiązek obywatelski.

* * *

Wszystkie składki należy przekazywać — jak dotąd — pod adresem: Kpt. Andrzej POTOCZEK, Elgg, Kt. Zürich — z podaniem celu wpłaty na odcinku przekazu pieniężnego.

Przypominam również, iż stosownie do porozumienia się z U.I.S.E. oraz celem ułatwienia pracy temu Związkowi — całą korespondencję w sprawie pomocy dla dzieci polskich należy kierować także na ręce kpt. Potoczka.

W celu umożliwienia przesłania odpowiednich zgłoszeń opieki na dalsze 6 miesięcy do Międzynarodowego Związku Pomocy Dzieciom (U.I.S.E.) w Genewie i do Fundacji w Warszawie, polscy oficerowie odpowiedzialni obozów zameldują mi na karcie pocztowej, czy dany obóz, w jakiej wysokości i na jaki czas opodatkował się na rzecz dalszej pomocy dzieciom polskim. O to samo proszeni są również wszyscy żołnierze, wpłacający miesięcznie 10-frankowe składki. O ile możności należy przy tym podać numery i nazwiska dzieci, na które deklaruje się dalszą opiekę.

Elgg, dnia 25 czerwca 1943 r.

Dowódca Dywizji

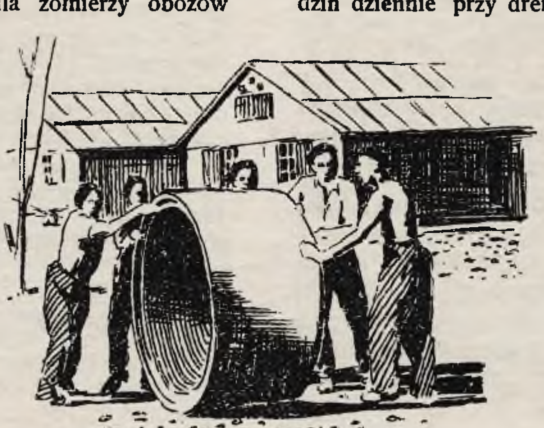
PRUGAR-KETLING, gen. bryg.

Z ŻYCIA OBOZÓW

GRANGES. Obóz ten istniał od 15. IV 42 do 30. VI 43. Stan liczbowy wahał się pomiędzy 120—200 żołnierzy. Obóz wykonał pracę nad przygotowaniem do uprawy 35 zalesionych hektarów ziemi po prawym i lewym brzegu Rodanu. Obecnie pod uprawą znajduje się około 15 ha.

W obozie zorganizowano zaspół artystyczno-kulturalny, który w okresie zimowym przygotował i wykonał kilka imprez okolicznościowych dla żołnierzy obozów w Granges, Chandoline, dla przedstawicieli YMCA i sztabu odcinka Rhône. Poza tym stworzono sekcję wyrobów artystycznych, wytwarzającą przedmioty o charakterze narodowym i specjalnym, m. in. obraz dla miejscowego kościoła, jako akt wdzięczności za miłe stosunki z miejscową ludnością. (Czy to przypadkiem nie był akt skruchy? Podobno w innym obozie robią składkę na chrzcielnicę... Przypisek zecera).

Chór obozowy przygotował występ na koncercie w Sierre w dn. 5. V przy współudziale Kagana i Pręgowskiego. Koncert ten został urządzony przez sekcję Croix-Rouge w Sierre. Dochód w kwocie 500 fr. wręczyła delegacja tego Czerwonego Krzyża Dowódcy Dywizji z przeznaczeniem na pomoc dzieciom w Polsce.



Budowa kanalizacji w obozie Granges
(Redakcja prosi o więcej takich fotografij!)

Czynna też była drużyna sportowa (piłka nożna i koszykówka).

Obóz nasz był odwiedzony m. in. przez dowódcę DSP oraz przez wicedyrektora YMCA p. Cedergrena, zięcia szwedzkiego następcy tronu. *f—n*

LORDEL. Obóz nasz jest położony na wzgórzu, do którego prowadzi długa i uciążliwa droga z St. Blaise. Z racji naszego tu pobytu nazywają nas góralami, albo zgoła — Hucułami. Maszt z chorągwią, ozdobiony rzeźbioną z drzewa odznaką DSP i orzeł biały, ułożony z kamyków u stóp masztu, czystość i porządek wskazują, iż kwaterują tu Polacy. Jedenaście baraków mieszkalnych, świetlica i in. pomieszczenia ustawione po obu stronach drogi, czynią wrażenie dużego obozu. Jest on rzeczywiście duży, liczy bowiem 250 żołnierzy (przeważnie artylerzystów) pod dowództwem kpt. dypl. K. Pracuje się tu 9 godzin dziennie przy drenarce, karczowaniu lasu, oczyszczaniu pola z kamieni oraz przy budowie drogi. Nastroje wśród nas oraz życie się nie pozostawiają nic do życzenia. Po przetrwaniu najcięższego okresu zimowego czujemy się tutaj doskonale, zwłaszcza teraz, kiedy słońce i wiatr opalił na brąz twarze naszych chłopaków.

W listopadzie ub. r. zorganizowano kursy dla analfabetów, półanalfabetów i kurs 7-klasowej szkoły powszechnej, grupujące około 15% stanu obozu. Podkreślić należy pilność uczniów i doskonałe wyniki kursów. Życie świetlicowe rozwinęło się dzięki temu, że obóz położony jest z dala od osiedli. Mamy książki, orkiestrę, a nawet dwa razy tygodniowo kino, prenumerujemy czasopisma. 9 V bawił u nas teatr DSP „Maryna". Wspomnieć też należy o spółdzielni żołnierskiej, prosperującej doskonale dzięki pracy gospodarza chor. Z.

Ogromny obszar mokrych łąk i nieużytków zdrenowany, wykarczowany kawał lasu, dziesiątki sągów drzewa

Dzień, jakich było wiele (Dok. ze str. 3)

cować i gotować, to samo w piekarni, skąd zaczął wychodzić chleb podobny już do normalnego. Zorganizowaliśmy izbę chorych i ambulatorium, które stały się naglącą potrzebą ze względu na szerzące się coraz bardziej choroby i zupełny prawie brak opieki lekarskiej ze strony zarządu obozu. Powoli, powoli zaczęliśmy tworzyć sobie jakieś mniej więcej ludzkie już, niezwierzęce warunki egzystencji, zabezpieczać się wszystkimi możliwymi środkami przed idącą szybko mroźną, rosyjską zimą.

Lecz nastrój wewnętrzny początkowo był okropny. Ciągły głód, warunki mieszkaniowe, wszy i pluskwy, wreszcie dokuczliwe zimno łamały ludzi. Dochodziło nawet do samobójstw. Najgorsze było to, co wreszcie ocknęło się w ludziach po wrześniowej klęsce: rozpacz, wściekłość bezsilna, tęsknota i troska o losy najbliższych. To była rdza, przeżerająca żelazo rdza. A trzeba było przecież przetrwać. Szły tygodnie. Ludzie powoli twardnieli, uodporniali się na wszystko. I nie tylko my — młodzi, ale i starsi, a nawet bardzo starzy, których nie brak było wśród nas. Umilkły kłótnie, swary, sprzeczki, różnice zdań. Wszystkie tamte rzeczy stały się już nieważne, śmiesznie małe. Łączyła nas wszystkich jedna niedola, jeden wspólny los ludzi, którym odebrano najdroższą na świecie rzecz — w o l n o ś ć.

Lecz oto zatrzymujemy się przed bramą obozu. Do kolumny naszej dołącza nowa, znacznie większa kolegów z obozu »na dole«. Zaczynają się powitalne okrzyki znajomych, pomieszane w ogólnym gwarze bezładne pytania i odpowiedzi. Widujemy się bowiem rzadko. Jedynie w dniach, kiedy prowadzą nas do łaźni, lub wtedy, kiedy pod pozorem pójścia do kina można odwiedzić znajomych w czasie dwugodzinnego trwania seansu. No i wreszcie w takich wypadkach jak dzisiaj — przy pracy.

Idziemy długo, dobre 5 km. Kozielsk widoczny jest jak na dłoni. Rozłożył się na wzgórzu i błyszczy w słońcu cerkiewnymi kopułami i dachami niskich, starych domów. Z daleka wygląda nawet dość malowniczo. Z bliska traci wszystko. Typowe małe, brudne, rosyjskie miasteczko. Zatrzymujemy się. Konwój otacza nas szerokiem kołem. Przy drodze sterczą wbite w śnieg drewniane łopaty. Każą nam oczyszczać drogę. Mróz trzyma ciągle. Tylko niewielu z nas jest szczęśliwymi posiadaczami rękawiczek. Reszta pracuje z gołymi rękami. Pracujemy zresztą wolno, od niechcenia, byle jak. Komendant konwoju ochrypł od krzyku. Ale klnie ciągle, grożąc nam lufą nagana. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Odpoczywamy często i długo. Lonek w swych drelichach jest już zapelnie siny z zimna. Każę mu nałożyć swój płaszcz, a sam biorę się za łopatę. Trzeba się przecież rozgrzać. Przechodzący obok bolszewik mówi z uznaniem: »Wot charaszo!« Rzucam mu przez ramię b. wymowne spojrzenie.

Skończyliśmy późno wieczorem. Wracamy głodni, przemarznięci, wściekli. »W domu« powitano nas odgrzaną na węglach grochówką (nadzwyczajne zjawisko!) i sporym zapasem nowin.

— Wszystkich spod sowieckiej okupacji będą zwalniać do domów, a resztę mają oddać Niemcom — mówi kpt. Buchcik. — Cały obóz aż huczy.

— Nie wierzę — odzywa się kolega znad dymiącej miski. — Znowu jakiś »jop«.

Ten »jop« jest popularnym w obozie skrótem od »jeden oficer powiedział...«

— I jeszcze jedno, ale to już oficjalna wiadomość. Powiedzieli dziś na odprawie, że wolno nam będzie pisać listy do domu. Jeden list w miesiącu.

To już jest coś konkretnego. Cieszymy się wszyscy. I jak to często bywa, rozmowa przechodzi na najbliższy, najdroższy każdemu temat — kraj, rodzinę, dom, przeszłość.

Za oknami jest ciemno, zapada wczesna, zimowe noc. W piecu pali się skradziony dzisiaj rano torf, naftowa lampa kopci, jak zwykle. Gdzieś w ścianie zaczyna cykać świerszcz, głośno, zuchwale. Rozmowa urywa się. Zbyt wiele wspomnień, obrazów, kochanych twarzy ciśnie się przed oczy. Na oba małe pokoiki, na wszystkich siedzących wokół ludzi opada smutek i gorsza nad wszystko tęsknota. Coś łapie za gardło, mocno, brutalnie. Wybiegam na dwór. Noc jest jasna, pełna gwiazd, mroźna — jak u nas zimą. Patrzę w niebo, w dalekie, chłodne, a przecież tak znajome gwiazdy. Kiedyś, pamiętam, po pasterce... Ciszę tnie nagle przeraźliwy, długi świst gwizdka.

— Stoj. Kto idiot?! — rozlega się w lesie, a w sekundę potem —Smiena.

Śnieg skrzypi, szczęknął repetowany karabin, odgłos oddalających się kroków. Nie potrafię, nie umiem powstrzymać cisnących się na rzęsy łez. Zresztą nikt ich nie widzi. Chyba Bóg, jeśli jest w tej chwili przy mnie, jeśli jeszcze nie odszedł... Wracam wolno do pokoju. Gong wydzwania w dali apel wieczorny. Śpiewamy cichutko, aby nikt z t a m t y c h nas nie słyszał, »wszystkie nasze dzienne sprawy«.

Minął znowu jeden dzień, dzień wykreślony z życia.

Janusz Wedow

---

opałowego, oczyszczony i przygotowany pod uprawę obszar nieużytków w gminie Landeron oraz znajdująca się w budowie droga długości ok. 900 m — oto bilans prac za czas naszego tutaj pobytu.

Na dobro zaś wewnętrzne zapisać należy podniesienie ducha żołnierskiego i dyscypliny wojskowej, co nam zyskało opinię wzorowego obozu nie tylko w naszym odcinku.

Maur

PODZWONNE

W czasie trwania kursów w Matzingen ubył z grona nauczycielskiego śp. wachm. KAZIMIERZ KAMIEŃSKI. Urodzony był w r. 1894 w ziemi siedleckiej. Nieuleczalna choroba raka przecięła pasmo dni jego życia w dn. 1.VI. 43 w szpitalu w Winterthur. Sercem i duszą pragnął śp. wachm. Kamieński dojść do ostatniego etapu naszej wielkiej wędrówki. Szedł, wpatrzony w ten daleki cel, ale szedł karnie, jak na żołnierza przystało. Sumiennie wykonywał obowiązki. Wielkie zalety jego charakteru sprawiły, że w pracy swej na kursach potrafił zdobyć pełne uznanie zarówno przełożonych jak i uczniów za swą sumienność i gruntowność. Zapał do pracy, płynący z głębokiego przekonania o jej celowości, potrafił wpoić w swych uczniów, dzięki czemu dziesiątki szeregowych kursu opanowało wykładaną przez niego księgowość, ufając, że przedmiot ten będzie im niezbędny w ich przyszłej pracy zarobkowej.

Sp. wachm. Kamieński pozostawił żonę i 8-letnią córeczkę Terenię, które tak bardzo ukochał i dla których pragnął żyć. Cześć Jego pamięci!

Śp. MIKOŁAJ MACIEJUK, sierż. z obozu Chavannes de Bogis zmarł 28. 5. 43 w szpitalu w Nyon. Sierż. Maciejuk urodzony był 5. X. 1904.

Śp. JULIAN GODZIK, st. strz. z 1 Dyw. Piech. ostatnio 5 psp., ur. w 1913 r., zmarł śmiercią tragiczną 7. VI. 43 w obozie Horweli-Alpnach Dorf.

Śp. ZYGMUNT FLINTA, plut. komp. gosp. 6 psp., ur. 12. III. 1908, zmarł 7. VI. 1943 w obozie Alp-Horweli. Pogrzeb odbył się 10.VI w Alpnach Dorf w obecności przedstawicieli Poselstwa RP. oraz Dowódcy Dywizji.



J. p. Frank.: Brak miejsca nie pozwala nam na zamieszczanie artykułów typu „Maryna w odwiedzinach u Maćka". Prosimy o sprawozdanie z życia obozu, ale nie szablonowe. Może coś o pracy samej, o tym jak się pracuje i co się czuje, o czym się myśli podczas pracy. Coś przemyślanego i płynącego z serca.

Internowani, mający **PRACE LITERACKIE** (powieści, pamiętniki, opowiadania itd.) na ukończeniu lub już przygotowane do druku zechcą podać do redakcji „Gońca" swój adres oraz tytuł i rodzaj pracy.

Nowe polskie wydawnictwo naukowe w Szwajcarii. Żywotność naszych obozów uniwersyteckich objawia się m. in. w znacznej ilości prac naukowych, tez doktorskich itp., przygotowywanych przez członków tych obozów. W związku z powyższym w jednym z obozów uniwersyteckich powstał projekt powołania komisji, która by rozważyła możliwości wydania tych prac oraz zebrania na ten cel potrzebnych funduszów. Na czele tej komisji stanął ppłk prof. dr Max Zeller inspektor obozów uniwersyteckich oraz profesorowie: dr A. Deryng, dr Ebermann, dr T. Keller, dr A. Vetulani, doc. Szpor oraz przedstawiciel Poselstwa RP.

Po dokładnym omówieniu programu, komisja przystąpiła do zrealizowania prac, związanych z wydaniem pierwszego tomu projektowanego wydawnictwa, do którego otrzymała już całkowity materiał. Tom ten będzie zawierać przeszło 20 prac naukowych, nadesłanych przez nasze obozy uniwersyteckie. W tomach następnych będą mogły być zamieszczone prace naukowe spoza obozów uniwersyteckich, o ile odpowiadać będą one warunkom ustalonym przez komisję.

Dodatek nr 30 dołączony do nr 13 „Gońca" zamknął trzeci tomik, składający się z dodatków literackich do naszego pisma.

Okładkę do trzeciego tomiku przesyłamy za nadesłaniem 50 rp. w znaczkach pocztowych.

W przerwie między trzecim a czwartym tomikiem literackim dołączamy do bieżącego numeru wykaz zamordowanych w Katyniu, zawierający około 1300 nazwisk. Wykaz ten przesyłamy w kilkunastu egzemplarzach do każdego obozu oraz do pojedyńczych abonentów. Poza tym wysyłamy go na żądanie.

Doświadczenie wykazało, że pierwsze arkusze dodatków literackich wpływają do nas w ilości mniejszej aniżeli następne, uniemożliwiając skompletowanie odpowiedniej ilości tomików.

Prosimy wszystkich oficerów oświatowych o osobiste dopilnowanie zbiórki dodatków literackich począwszy od nr. 15. Dowiadujemy się, że w niektórych obozach zbiórka dodatków nie jest zorganizowana, a co więcej — w jednym z obozów żołnierza, który sam podjął się tego obowiązku, podejrzewano, że na tym zarabia!

— **M. Mierzwa** — „Gra w bilard" nie pójdzie; może napisałby Pan coś wesołego na temat życia w waszym obozie?

— **S. O.** — „Jacy wrócimy" wykorzystamy.

— **Kpt. T. K.** — wiersz wykorzystamy.

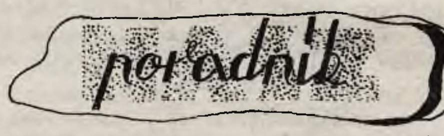
— **B. B—l.** — Dziękujemy. „Buciński" pójdzie. Prosimy o nas stale pamiętać. Tylko, na miłość wszystkich prababek, Pańskie sylwetki nie powinny obejmować więcej niż 4 strony rękopisu: inaczej nie damy rady — nie zmieścimy się!

— **Kord. M.** — Materiał o Matzingen wykorzystamy.

— **A. Szew.** — Winterthur — Dziękujemy, zamieścimy.

— **Autor „ Jean Boutte'a"** prosi o przekazanie do wiadomości „jego szanownego krytyka z Chavannes de Bogis" następującego zdania: „Od momentu, w którym zostało wyrwane pierwsze gęsie pióro, łatwiej jest krytykować niż coś napisać".

—**Jeszcze raz zwracamy się** do wszystkich naszych Czytelników z gorącym apelem o nadsyłanie pod naszym adresem wycinków z prasy szwajcarskiej, omawiających s p r a w y polskie. Chodzi zwłaszcza o prasę prowincjonalną, do której nie mamy dostępu, a którą czytają m. in. nasi żołnierze, rozrzuceni po całej Szwajcarii. Ważną jest każda najdrobniejsza notatka, wiadomość czy inny materiał, nawet pośrednio traktujący o sprawach polskich. Na przesyłanym wycinku należy czytelnie zaznaczyć datę i nazwę pisma, z którego został zaczerpnięty. Gdyby z jakichś względów dostarczenie wycinka nie byłoby możliwe, prosimy o powiadomienie nas, w jakim piśmie, kiedy i na jaki temat materiał o Polsce się ukazał. Oczywiście chodzi też o wycinki, dotyczące życia naszych żołnierzy w Szwajcarii.



Towarzystwo Polskie w Lozannie wydaje studium historyczne Dr. St. Liberka pt. „Les Polonais dans le Pays de Vaud" o udziale Polaków w ogólnym rozwoju Szwajcarii francuskiej, w szczególnosci w kantonie Vaud w okresie od X w. do chwili obecnej. Praca ta zawierać będzie około 120 str. druku i kosztować fr. 3.50. Subskrypcje przyjmuje: Société Polonaise, Lausanne, Hôtel Victoria.

Szwajcarski Komitet Pomocy Jeńcom zawiadamia nas, że paczek mundurowych obecnie nie wysyła. Cena paczki żywnościowej podniesiona została do fr. 8.—

Dalsze wydawnictwa »Biblioteki Polskiej« w Budapeszcie są do nabycia u Dr. St. Liberka (Lausanne, Chamblandes-dessus 33b): Prima Aprilis — Jednodniówka z karyk. Jotesa fr. 1.50 — Ady Endre, Wybór poezji w przekładzie K. Iłłakowiczówny fr. 1.50 — M. Lawrukaniec, Tytuł da serce, opowiadania dla młodzieży fr. 2.— Węgierska mozaika, zbiór nowel węgierskich fr. 2.50 — „Droga" zeszyt nr 2, rocznik Polaka na Węgrzech fr. 2.50.

Poczta pośpieszna Czerw. Krzyża. Agence Centrale des prisonniers de guerre, Genève, wprowadziła specjalną pocztę pośpieszną dla korespondencji z daleko przebywającymi członkami rodzin. Z pomocy tej można korzystać, o ile nie ma się wiadomosci od przeszło 3 miesięcy.

Krótki list — o ile możności w jęz. francuskim — z adresem odbiorcy przesłać należy do powyższej instytucji z prośbą o przekazanie przy pomocy „messages express".

Fotografie z naszego przejścia granicy szwajcarskiej w formacie pocztówki są do nabycia: Przejście pod Goumois, zdjęcie z samolotu — stos karabinów — stos granatów — stos hełmów — opatrywanie nogi przez sanitariuszki szwajcarskie — koncentracja na łące pod Saignelegier — szereg samochodów z grupą spahisów. Razem 7 zdjęć. Należność w kwocie fr. 1.50 przekazywać białym przekazem z zaznaczeniem na prawym odcinku „pour une serie des photo, concernant le passage de la frontière suisse".

ADRESY: Redakcja: Redaction du Journal des Internés polonais, Münchenbuchsee.
Administracja: Commissariat Fédéral à l'Internement, l'Officier de presse, Poste de campagne 17.
Wpłaty dla „Gońca Obozowego" na (blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern.

Cena „Gońca Obozowego":
dla oficerów i aspirantów Fr. 0.30
dla podoficerów i szeregowców Fr. 0.15
dla osób cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.80

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement,
Poste de campagne 17.